

ROZMAITOŚCI.

Dnia 7 listopada,

N^o 45.

roku 1846.

Duch opiekuńczy.

(Dokończenie.)

Pani Bontemps, raczej zdziwiona niż przestraszona widokiem mężczyzny, który podstępnie miał na nią zamiary; powstała z majestatyczną powagą od biurka, i poszła prosto ku taśmie od dzwónka. Jednocześnie Candal, rozumiający się dobrze na taktyce zaalarmowanych kobiet; uprzedził jej kroki, i, jako mężczyzna, który bezwzględnie z swego położenia korzystać myśli; ujął ją szybko za ramię. Pani Bontemps spojrzała na niego z gniewem i wzgardą, on zaś na nią z uśmiechem szyderstwa i urągania.

»Panie de Candal,« — ozwała się zatrwożona wdowa do kapitana — »odprawiłam pana tak stanowczo, iż spodziewałam się być raz na zawsze uwolnioną od pańskiej obecności. Mimo to poważyłeś się pan zakraść do mojego mieszkania. Oddał się pan natychmiast, lub będę zmuszoną kazać pana przez moich ludzi wyprowadzić.«

»Ani ja się, piękna kuzynko, nie oddałam, ani ty, ludzi swych nie przywołasz. Jesteś moim jeńcem!«

»Panie Candal! Nie obrażaj mnie. Jedynie ze względu na pokrewieństwo, które znieważasz, radabym ci ująć hańby, na jaką zasłużyłeś; lecz oddał się natychmiast bez zwrócenia pozoru na mnie. Cóżby o mnie powiedziano, gdyby cię kto o tej późnej godzinie u mnie zastał?«

»Powiedziano kuzynko, żeś dobry wybór uczyniła; jak to piosnka mówi: »Dzielny w boju, dzielny w miłości!« Zresztą nie mianoby nawet czasu zastanawiać się

nad tém, gdyż prawem podboju, zostajesz, kuzynko, jutro już moją żoną. Lub jeżeli sobie tego życzysz, będę cię natychmiast za panią de Candal uważał.«

»Zaniecham wszelkich względów, jakie mię dotąd wstrzymywały, i przywołam moich ludzi, którzy twoją bezczelność, kapitanie, należącie ukarać.«

»Gdybyś pani miała ochotę przywołać swoich ludzi, tedy jabym moich jeszcze prędzej mógł przywołać; tak jest, piękna kuzynko, moich ludzi, których na świadków zaręczyn naszych zaprosiłem.«

Po tych ironicznych słowach zaprowadził kapitan panią Bontemps do okna, a otworzywszy je z brzękiem, wywiódł ją na balkon, i pokazał jej ztamtąd stojące na dole grono swoich towarzyszków broni i rozpusty. Okazanie się pana Candal z piękną kuzynką było przyjęte oklaskami i radośną wrzawą, podczas której biedna wdówka wpółzemdlna, w objęcia kapitana się przechyliła.

»Oto widzisz pani,« — ozwał się de Candal, dziękując skinieniem ręki swoim gościom — »widzisz oficerów z mojego pułku, powołanych przeze mnie na świadków naszego szczęścia. Jutro opowiedzą całemu miastu, co tu widzieli, jeżeli pani nie zechcesz oddać mi ręki, i zostać moją żoną.«

»Panie de Candal,« — odrzekła kuzynka zcicha, usiłując usunąć się temu szkaradnemu widowisku — »jesteś nikczemnym człowiekiem, i niechbym tylko miała brata albo kochankę, któryby mię mógł bronić; nie byłbyś się pan poważył naruszać moję sławę. Na miłość Boga, odpraw pan tę pijaną czeredę!«

»Jakże, moi przyjaciele!« zawołał kapitan na dół ku swoim towarzyszom. »Wszakżeście dość już widzieli? Jestemże w istocie uszczęśliwiony posiadaniem pięknej kuzynki?«

»Tak! tak! jesteś nim!« ozwali się oficerowie jednogłównie. »Nie może ona tego się wyprzec.... Co dalej nastąpi, z łatwością odgaduję, i będziem aż do jutra rana stać tu na straży.«

»Nie potrzeba tego; moja narzeczona nie cofa słowa, a że tu o prawdziwe małżeństwo rzecz idzie, więc nie życzę sobie sceny publicznej. Oczekujcie mię u Ramponne'a; tam w bratniem kole spijemy się na cześć mego zaciągnięcia się pod chorągiew małżeńską.«

»Do zobaczenia! Przyjemnej nocy!« zawołał chórem oficerowie. »Niech żyje Candal! Niech żyje miłość! Niech żyje Ramponne! Dalej, naprzód!«

Pocém odeszli wszyscy, śpiwając i hałasując jak tłuszcza uliczników. Pan de Candal, który już o swojej, kosztem dobrej sławy niewinnej kobiety, odniesionej wygranej nie wątpił; zamknął okno, i zaprowadził szlochającą kuzynkę do sofy, gdzie w żarcie na jedno kolano przed nią ukląkłszy, w rękę ją pocałował.

»Jakże, piękna kuzynko?« rzekł do niej pełen zaufania w zwycięstwo swoje. »Jutro zostaniesz pani moją żoną, lub pozbawię cię sławy.«

»Panie Candal!« ozwała się pani Bontemps błagalnym głosem. »Panie Candal, nie będziesz pan tak okrutnym!«

»Jeźlibym ja takim nie był, tedy będzie nim kto inny; bo trzydziestu oficerów, nie licząc w to sąsiadów, którzy przywabieni wrzawą do okien, widzieli wszystko co zaszło, trudno zaiste przymusić do milczenia, i można być pewnym, iż nazajutrz całe miasto wiedzieć będzie, kto tej nocy był w twój sypialni, piękna kuzynko; a że ja temu przeczyć nie będę, możesz pani być pewną.«

»Nie; jeszcze takiej podłości przypuszczać nie mogę, a jestto podłością, gdyż nie mam żadnego środka do obrony. Jednakże strzeż się, panie Candal, aby ci to na złe nie wyszło. Wiem ja kogoś,

co mię zdoła obronić i zemścić się za mnie.«

»Masz pani kochanka, nadobna kuzyneczko? Cieszę się tém serdecznie. Zabiję go jutro bez miłosierdzia w pojedynku, jeżeli mi pani natychmiast pisemnego przyrzeczenia małżeństwa nie dasz. Jesteśmy i tak już w pokrewieństwie, a przeto w pół drogi do zamęzcia; ułożmy tedy czempredziej kontrakt ślubny. Ileż posiadasz pani wszystkiego majątku? Ile w kapitałach, dobrach ziemskich, kamienicach, proszę powiedzieć. Stotysięcy? Trzykroć stotysięcy? Może sześćkroć stotysięcy? Jakże? Może nawet i miljon?«

Naraz pękła szyba w oknie balkonowém, a przez powstały ztąd otwór pokazała się ręka ze szpadą, chociaż na balkonie nikogo widać nie było. Pani Bontemps wydała krzyk przestachu, i zasłoniła sobie twarz ręką. Candal przypisał ten żart jednemu ze swoich spółtowarzyszy broni.

»Człowiek honoru nie obraża damy!« ozwał się wyraźnie ze dworu głos, drżący z gniewu. »Myślałeś, iż ci to ujdzie bezkarnie, i budowałeś nadzieje swoje na liczbie spółwinowajców; lecz będziesz ukaranym, i nic na twojej bezczelności nie zyskasz. Pójdź, panie Candal, jeżeli wart jesteś nosić oręż; pójdź i odbierz nagrodę zasłużoną, oszczerco niewinnych kobiet!«

»Obaczmy, kto ją odbierze!« zawołał kapitan, obrażony tém wezwaniem, i uważając przenikliwie zmieszanie na twarzy pani de Bontemps. »Masz pani kochanka? To przecież nie przeszkadza pójść za kogo innego za męż. O, widziałże kto taką cnotę!«

»Panie Candal!« przerwała mu ładna wdówka. »Niesprawiedliwie mię posądzasz. Przysięgam, iż nie znam, i nigdy nie widziałam tego pana, co teraz za oknem mówi. Ale strzeż się mieć z nim zajście. Uciekaj copredziej, i nie obrażaj go, błagam cię!«

»Ani włos mu z głowy nie spadnie, jeżeli pani zezwolisz pójść za mnie, i rozrządzenie majątkiem swoim w ślubnym zapewnisz mi kontrakcie.«

»Cóż, wyjdiesz, panie Candal?« zapytał

groźnie głos za oknem, podczas gdy wystawiona przez okno ręka spada błysnęła. »Mamże ci powiedzieć, iż jesteś podłym, nikczemnym człowiekiem? Albo mamże może dla dodania—ć odwagi, dać ci policzek? Pójdź; rozprawimy się o śmierć lub życie; twoi towarzysze oczekują cię u Ramponne'a.«

»Ma słuszność;« — mruknął de Candal pógłosem. »Trzeba najprzód spełnić powinność, a potem dopiero ukończymy miłości. Schowaj swój rozenek panie kochanku, i myśl raczej o czém inném, niż o wybijaniu okien.«

»Zatrzymaj się, panie Candal; nie puszczać cię! On cię zabije, albo ty go będziesz musiał zabić!«

»Dobranoc, piękna kuzynko! Zostawiam ci czas do namysłu. Oddaj mi rękę, a unikniesz wszelkiej obmowy, bo ja każdemu uszy obetnę, ktoby śmiał głosić, żeś miała kochanka, nimesz za mnie za mąż poszła!... Jestem na twoje usługi, panie rycerzu damski! Już idę!«

To rzekłszy, zniknął pan de Candal przez okno, a gdy pani de Bontemps do balkonu pobiegła, aby go odwołać, ujrzała kapitana już na dole, rozmawiającego z jakimś mężczyzną, który surowo nań nastawał. Po niejakiem czasie odeszli obadwaj w ciągłym swarze, a nieznajomy obrócił się ku oknu, czyniąc poruszenie ręką, podobne do przesłania całunku. Pani Bontemps była nadzwyczajnie zmartwioną, a lękając się śmiertelnie o swego spaniałomyślnego obrońcę, którego z całej duszy kochała; padła bez zmysłów na balkonie, przyczém jeszcze gwałtownie głową o poręcz żelazną uderzyła.

Dopiero nad rankiem przyszła do siebie, bądźto, iż jej wzruszenie tak długo uspokoić się nie mogło, bądź iż przy upadnięciu, uderzenie w głowę aż potąd wszelką przytomność jej odjęło. Podniosłszy się błada i otrętwiała, nie była przez długi czas w stanie przypomnieć sobie wyraźnie zaszłości minionej nocy, i nie wprzódzy zupełną świadomość położenia swojego odzyskała, aż jakieś stukanie do drzwi słyszeć się dało. Byłato służąca z listem, przyniesionym przez nieznajomego

posłańca, który koniecznie nalegał, aby ten bilet mimo niezwykłej pory, natychmiast był pani doręczonym. Pani Bontemps rozpieczętowała pismo, a treść jego wprawiła rychło w ład wszystkie jej zawile przypomnienia:

»Pani! Jesteś zemszczoną. De Candal nie żyje; umarł, żałując swego postępku. Czuję się niewymownie szczęśliwym, iż mogłem ocalić sławę twoję; ale wolnoż mi prosić o jedyną nagrodę, jakiej śmiem się spodziwać? — Proszę więc pani — jeżeli los nieszczęśliwego, który cię kocha, litość w tobie obudzić zdoła — proszę i zaklinam cię, darować mi jedną, ostatnią chwilę, która mi stanie pociechą za wszystkie cierpienia. Posłałam pani powóz, który cię do mnie zawiezie, jeżeli ufasz uczciwości i wierności umiérającego kawalera de Vertumne.«

Oczy pani de Bontemps nie uroniły ani jednej łzy, ale jej serce było przepełnione najrzewniejszym uczuciem; gorzało namiętną miłością dla człowieka, który tylko w dobrodziejstwach się jej pojawiał, i dopiero w godzinie śmierci słowo miłości śmiał wyrzec. Totież nie wahając się wcale, i stłumiwszy gwałtowną bolesć, kazała pani Bontemps téj samej pokojowej, która pana de Candal wpuściła, a teraz z uśmiechem na nieład w stroju swój pani pogłądała, przyczesać się naprędce, poprawić nieco sukni, i pogrążona w smutku i żalu, wsiadła do czarnego powozu, stojącego przed drzwiami jej mieszkania.

Powóz zajechał na dziedziniec wielkiego pałacu, gdzie kilku lokajów w czarnej liberyi naprzeciw pani Bontemps wyszło. Udała się spiesznie w milczeniu za nimi, a minawszy kilka z książęcym przepychem ozdobionych pokoi, została wprowadzoną do sypialni, w której pospuszczane u okien zasłony, zaledwie tyle światła zostawiały, iż można było rozeznac znajdujące się w niej przedmioty. W kącie leżały krwią zbroszone suknie i szpada; przy stoliku siedział jakiś czarno ubrany mężczyzna i pisał; inny, również czarno odziany, stał w pobliżu łoża i przyrządzał przewiązkę dla chorego — było lekarz i notaryjusz.

»Onaż-to?« ozwał się stłumiony głos z łoża, osłoniętego szerokiemi kotarami, a gdy zatwierdzającą dano odpowiedź — »Témci lepiéj;« dodał tenże sam głos, »gdybym jeszcze kilka chwil się ociągał, zabrakłoby mi głosu do méj ostatniej woli; a mam tu jeszcze ważną sprawę załatwić.«

Poczém podyktował notaryjuszowi:

»Daruję i zapisuję nieodwołalnie pani Bontemps, wdowie po pierwszym kamerdynerze króla Francyi, cały mój majątek, tak ruchomy, jak i nieruchomy, tak w Paryżu jako i w Niemczech, i to na zupełną własność, bez wszelkiego warunku; postanawiam, aby rzeczona dama była moją uniwersalną dziedziczką, a to z powodu przywiązania, jakie zawsze dla niej miałem.«

»O, panie! Tego ja nie przyjmuję!« zawołała pani Bontemps ze łzami, zbliżając się do łoża, którego kotary nieco się w téj chwili poruszyły. »Nie, pan możesz i będziesz żyć jeszcze. O, panie! Cóżem ja uczyniła, abym sobie na taki dowód przywiązania zasłużyła! Nie znam cię nawet, chociaż cię zawsze poznać pragnęłam. Nie przyjmuję twojego daru, gdyż jestem jeszcze zdawna dłużniczką twoją za bardzo wielką sumę.... O, żyj, żyj mi panie, abym ci ten dług zwrócić mogła.«

»Słowa twoje, pani! są miłe i słodkie sercu mojemu; lecz powtarzam ci: jest to mój testament; gdyż rana moja — śmiertelną — czuję to...«

Lekarz skinął potakując, a pani Bontemps padła w stojące przy łożu krzesło, i zakryła sobie chustką oczy. Umiérający podpisał z natężeniem, i oddawszy testament notaryjuszowi, zażądał aby go sam na sam z panią Bontemps pozostawiono. Przez jakiś czas panowała głęboka cisza, tylko gwałtowném łkaniem przyjaciółki kawalera de Vertumne przerywana.

»O, panie, powiedz, że nie umrzesz... Ty nie wierzysz jaką władzę nad sercem kobiecém ma poświęcenie się.... Pan kochasz mię, nie prawdaż? Wnoszę to, sądząc po mojem własném uczuciu. Dlaczegoż miałabym ukrywać to przed panem? Ach, tak jest, kocham pana! a serce moje zapewnia ci moję rękę.«

»O, gdyby rana moja nie była śmiertelną, twoja dobroć, pani! mogłaby ją uleczyć. Powtórz mi raz jeszcze, iż mię kochasz, ale nie zbliżaj się do mnie, zaklinam cię.... Moje *incognito* musi trwać tak długo, dopokąd żyję.... Ach! Ona mię kocha, a ja umieram! O, gdyby tylko jeszcze jeden dzień, jedna godzina życia! Ona mię kocha!«

»Byłabym bardzo niewdzięczną, gdyby mnie delikatność miłości twojej nie wzruszała; ocaliłeś mi panie, życie i sławę; tobie zawdzięczam mój majątek, a za tyle spianałomyślności, nie masz tylko jednę nagrodę, którą panu tu daję: moje serce, i moję rękę. Lecz nie tracę nadziei, wyzdrowiejesz pan z czasem...«

»Ach, nie! Umiéram.... Droga przyjaciółko! Nie przeczuwałem nigdy tak zupełnego, tak niesłychanego szczęścia: być od ciebie kochanym, i z własnych twoich ust to usłyszeć...«

»I nie mogę ci obaczyć, mój luby przyjacielu? Wzrok kochającej kobiety ma w sobie siłę uzdrawiającą. Chcę ci w oczy wyznać, iż cię kocham.«

»Nie.... jeszcze nie.... ach, nigdy! Przestałabyś mię natychmiast kochać!... Och, radość mię zabiła!.. Być od niej kochanym!... Ha!... Teraz możesz już spojrzeć na mnie.«

Pani Bontemps zadrzała, słysząc przeciągłe westchnienie — było ostatni jęk skonania; rozsunała kotary, których już skrzepła ręka przytrzymać nie mogła, i — ze zgrozą ujrzała na poduszce, okropnie szkaradną, potworną, już martwą twarz — owego straszidła, które niegdyś na operze była spotkała.

Ztémwszystkiém, lubo piękna wdówka powtórnie na tego zmarłego człowieka spojrzeć nie mogła, przecież rzewnie go opłakiwała.

Najbliższy numer owczesnej »*Gazette de France*« donosił o zgonie księcia de Weisenburg — »który od lat kilku w Paryżu mieszkał, a dla swojej niezmiernie oszpeconej twarzy, w zupełném żył odosobnieniu.«

Nie ma już Alp!

Pamiętne słowo Ludwika XIVgo: „Nie ma już Pirynejów!“ wyrzeczone po wyniesieniu jego wnu-

ka Filipa na tron hiszpański, wznowiło się teraz poniekąd przez zaślubienie księcia Montpensier z królową Ludwiką, — jeśli w ogólności pokrewieństwo domów pannyjących, dziś jeszcze stanowczy wpływ na wzajemne stosunki narodów wywrzcić jest w stanie. Piękniejszym jednak i trwalszym sposobem, niż na mocy wyroków królewskich, otwierają się teraz olbrzymich gór przegrody za pomocą sztuki, pracy i mądrości narodów. Nié ma już Alp, które niegdyś Niemcy i Włochy przedzielały, a po lodowych szczytach, kędy wędrowca przez innoгие wieki tysiączne spotykały niebezpieczeństwa; bieży dziś koleją żelazną, lotem błyskawicy całe osady z kraju do kraju bezpiecznie przewożąca. Wszakże cuda ludzkich usiłowań mają teraz nowém dziełem być uwieńczone. W Turynie krzątają się koło tego, aby górę Mont-Cenis, w celu założenia kolei żelaznej, od Turynu aż do Lugdunu przekopać. Angielskie pismo „*Athenæum*” donosi, iż pewien znakomity inżynier belgijski zajął się zbadaniem miejscowości; i wykazał, iż góra Cenis mogłaby być przerznęta tunelem, mającym 7 angielskich mil długości. „A taki tunel, — mówi toż pismo dalej — „jeśli kiedy przyjdzie do skutku, będzie bezsprzecznie jednym z największych cudów świata!” — Któż jednak wątpić może, aby to przyszło do skutku, gdyśiny już tyle trudnych do uwierzenia przedsięwzięć na lądzie i na morzu w naszych oczach dokonaniami widzieli? Przecięcie pomienionego pasma alpejskiego, przyniosłoby nieobliczone korzyści dla komunikacyi. Nie tylko, iż przez takie przerznięcie wnętrza góry, droga zamiast spinania się po różnych skrętach i wąwozach na wierzchołek ćwierćmilowej wysokości i spuszczenia się potem wśród takichże samych niedogodności nadół, o wieleby się ukróciła, lecz nadto podróżni zostawaliby zawsze w téjsamej temperaturze, nie potrzebując z ciepłej doliny nagle w klimat lodowcowy, i odwrotnie, z najstroższego zimna, w upał przechodzić. Nawet koszta przedsięwzięcia nie byłyby w porównaniu zbyt wielkie, gdyżby potrzeba tylko 7milową kolej założyć, podczas gdy droga przez wierzch góry, z powodu ciągłych skrętów i zbaczai, przeszło 50 mil angielskich-by wynosiła, a przytém jeszcze co chwila kosztowne mosty ponad przepaście budować, od lawin i urwisk skalistych zabezpieczający się należało, i mimo to wszystko, w nieustanném niebezpieczeństwie całą tę podróż odbywaćby musiano. Zresztą nie kosztujeż teraz utrzymanie każdej zwyczajnej drogi w Alpach szwajcarskich i sabaudzkich, tak ogromne sumy, iż podróżni daleko droższe myta opłacać muszą, niż cała podróż kosztuje? Kolej żelazna przez, czyli raczej, skróś góry Cenis, wymagałaby zapewne znacznej opłaty od jadących nią osób, lecz najwyższa cena byłaby jeszcze mniejszą od terażniejszych kosztów podróży. Również i umiejętność wieleby na

tém zyskała, gdyby wreszcie słowa poety: „*Nigdy umysł śmiertelnych wnętrza przyrody nie zgłębi!*” — przynajmniej częściowo zbitemi zostały, i nie tylko dla mineralogii, ale i dla całego przyrodnictwa, i dla sztuki podbijania sobie natury, musiałyby rozwarcie wnętrza Alp, niezmierzone pole nowych odkryć i dostrzeżeń otworzyć. Alpy mają dotąd stosunkowo bardzo małą liczbę kopalń i zakładów górniczych; jakżeby się świat zdumiał, gdyby przy rozkopaniu, pokłady szlachetnych kruszców odkryto! Gdyby zamiast ogromnych kosztów, jakie teraz wszystkich zatrwają, ogromne skarby w łonie gór się znalazły! A gdyby tylko rudę żelazną, lub węgle kamienne napotkano, jużby to jedno było dostatecznym do wywołania rewolucyi w handlu i wszystkich stosunkach komercyjalnych, jak to niegdyś po odkryciu Ameryki się stało. Przez górę Cenis przechodził w starożytności Hannibal ze swymi Kartagińczykami, i utracił przy téj, wśród niesłychanych trudów odbytej przeprawie, przeszło dwie trzecie części swego wojska i wszystkie słonie, muły i juki. Cóżby więc ten wielki mąż teraz powiedział, gdyby mu doniesiono, iż wnet cała armija z artyleryją, amunicyją, a w razie potrzeby nawet i ze słoniami, wygodnie w powozie siedząc, w kilku godzinach przez górę Cenis przepawić się będzie mogła? I tylko taki znakomity człowiek jak wspomniony tu bohater kartagiński, byłby uwierzył cudownym przedsięwzięciom naszych czasów; milijony powszednich jego spółziomków, byłiby je mieli za bajki albo drwiny, gdyby im kto był o tém wspomniął. — Kapitan Aleksander Ball, autor ciekawego dzieła podróźniczego pod napisem „*Siedm lat w Hiszpanii*”, opisuje okoliczność, mogącą być potwierdzeniem owej wzmianki. Bawiąc w Maladze, mieszkał kapitan Ball u pewnego światłego urzędnika, który bardzo rozsądne zdania o owczesnym stanie Hiszpanii, i stosunkach Anglii wynurzał. Razu jednego, w rozmowie, opowiadał mu Ball o kilku nowych odkryciach i zakładach w Anglii, które Hiszpan naleźycie pojął i ocenił. Gdy jednak o tunelu pod Tamizą, mowa była, zdziwił on się niezmiernie, a potem, pożegnawszy swego gościa, który tymczasem przypadkowo w obocznym pokoju się zatrzymał, rzekł ze śmiechem do rodziny: „Jak widzę, nasz Anglik chce nas w pole wyprowadzić, i myśli, że my jego historyi o tym podrzeczonym tunelu uwierzmy; ale my dzięki Bogu, nie w ciemną bicia!”

Trabukerowie, opryszkii w Pirynejach.

Najnowsze pisma francuzkie donoszą o straceniu kilku Trabukerów w miastach Céret i Perpignan, i opowiadają przytém niektóre ciekawe anegdoty o tych równie śmiałych jak i przebiegłych rabusiach,

oddawna w pirynejskich okolicach południowej Francji łożących. — Roku zeszłego, w jesieni, około północy, po kilkugodzinnym ogniu z ręcznej broni, który w pobliskich górach słyszano; zapukał jakiś dziko wyglądający człowiek bez czapki, bez płaszcza, i kulawy, do drzwi ustronnej w lesie gospody. Właściciel otworzył okno, postrzegł podejrzanego gościa i oświadczył mu, iż o tak późnej godzinie nikogo wpuszczać nie może. Jednakże nieznamy nie przestawał prosić, błagać, wzywał litości gospodnika, tłumaczył mu, iż przyszedł sam jeden i bezbranny, a przeto niczego odeń obawiać się nie można; skarżył się, iż jest głodnym, cierpiącym, kalęką, któremu przecież gospodarz nie da zginąć z głodu i z zimna, zwłaszcza gdy za wszystko jaknajdrożej zapłacić jest gotów, i tylko kawałek chleba i wiązki słomy pod głowę żąda. Nareszcie, chcąc swoim słowom więcej nadać powabu, zabrzękał kilka dukatami, które gospodnikowi przy blasku księżycy nader mile w oczy błysnęły. Nie mogąc się tedy oprzeć pokusie, spojrzął począciwie jeszcze raz łakomie na pokazane sobie złoto, wyszedł do drzwi i otworzył. Nieznajomy wszedł spiesznie do środka, usiadł przy stole, i kazał wina przynieść. Począł wychylając jedną szklanicę po drugiej, zagał rozmowę z gospodarzem, pytając, czy miewa też wiele gości, i czy jest zadowolony ze swego losu. Gospodnik ścisnął smutnie ramionami i westchnął.

„A ile też warta jest wasza gospoda?” zapytał dalej nieznamy.

„Jako? Rozumiesz pan, ile budynek wart jest?” przejął gospodnik.

„Dóm, szynk, zapasy win i żywności, sprzęty, słowem cała gospoda, i wszystko, co do niej należy.”

Gospodnik wypatrzył się wielkimi oczyma na swego gościa, a potem, chwilę pomyśliwszy — „Siedm tysięcy franków” — odrzekł.

„A więc dobijmy targu!” zawołał nieznamy, i dobywszy natychmiast sakwy z kieszeni, wysypał na stół kupę czerwonych złotych, zaczął liczyć, aż póki sumy siedmiu tysięcy franków nie naliczył, przygarnął złoto gospodarzowi, kazał sobie kwit wydać, a wreszcie uderzył zdziwionego gospodnika po ramieniu, i rzekł mu: „Słuchaj przyjacielu, już dzień zaczyna. Bierz pieniądze i ruszaj: nie masz tu już co robić; teraz ja tutaj panem; bądź zdrow!”

Gospodnik, rad z korzystnego handlu, zabiiera się i wychodzi, nieznamy zaś, ubrawszy się w należąca mu się z nowego urzędu czapkę gospodniczą z długim kutasem; zamyka się i spać się kładzie. — W godzinę później nadjeżdża orszak żandarmów, i staje przed gospodą.

„Hej, panie karczmarszu! A nie widzieliście tedy jakiego rannego człowieka przechodzącego? Był to rozbójnik, Trabuker.”

„Nie widziałem żywej duszy;” — odpowiada przestoczony w karczmarsza Trabuker z uśmiechem — „ale bądźcie panowie łaskawi wstąpić na chwilę, i przekąsić, co Bóg dał.” —

Tak gospodarzył Trabuker przez kilka miesięcy w swojej gospodzie, nie zwracając niczem podejrzania na siebie. W dzień przyjmował podróźnych, w nocy gościł swoich dawnych towarzyszy, i pił z nimi. W końcu jednak znudziło go to jednostajne życie, i znikł znowuż tak zniemacka, jak się był zjawił. —

Jednego razu schwytali byli Trabukerowie pewnego nieznanca z Barcelony. Począł zamknawszy go w bezpiecznym miejscu, dali przez jednego ze swoich pomocników wiadomość stroskanej małżonce pojmańca: iż go wprzód nie wypuszczą, aż póki im 300 uncyjów złota okupu zań nie złoży. Jakoż czekano na to tydzień, miesiąc, dwa miesiące, lecz żadna odpowiedź nie wracała. Nareszcie sprzykrzyło się Trabukerom czekać dłużej, i wyprawiono drugiego posłańca, aby się dowiedział, jak rzecz stoi. Po kilku dniach odpisał im posłaniec: „Nie spodziewajcie się niczego. Żona waszego jeńca jest młoda i ładna; płakała przez cały miesiąc, nie myśląc o wykupieniu męża; teraz znalazł się pewien oficer, don R..., który biedną opuszczoną pocieszył, i wszelką ochotę oswobodzenia małżonka z głowy wybił. Jest tylko jeden sposób otrzymania żądanych przez was trzechset uncyjów, a to: jeżeli się jej zobowiążecie, na zawsze jeńca waszego przy sobie zatrzymać.” — Dowódzca Trabukerów wściekał się ze złości. Złożono radę i uchwalono, natychmiast jeńca puścić bezpłatnie, aby się na żonie zemścić. — Opowiadają wiele podobnych anegdot o Trabukerach. Jakoż w ogólności nie miano w okolicy zbyt wielkiego od nich wstrętu; owszem, ponieważ zawsze przy groszu byli, a za wszystko hojnie płacili; tedy znaleźli się nawet tacy, którzy ich radzi widzieli. To też byliby oni jeszcze długo mogli prowadzić swoje zbrodnicze rzemiosło, gdyby w końcu ich swawola nie była miarki przebrała. Z początku rządzący się Trabukerowie pewnym wojskowym trybem, i słuchali jednego wspólnego naczelnika; lecz później podzielili się w kilka pomniejszych, niezawisłych od siebie band, i stali się przeto mniej silnymi do odparcia surowych środków, jakie w ostatnich czasach tak z hiszpańskiej jako i francuskiej strony przeciw nim przedsięwzięto. Pierwotnie poprzestawali oni tylko na obdzieraniu majątnych podróźnych i rabowaniu zamożniejszych dworów, oszczędzając życie ludzkie; później jednak dopuszczali się mordów, i to przyspieszyło ich zgubę.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: Tygodnika rolniczo-przemysłowego T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 44ty i zawięra:

1) Uprawa chmielu w okolicy Rottenburga nad rzeką Nekarą. (Dokończ.) 2) Wynikłości uzyskane z uprawy łąk. (Przez dokt. instytutu w Hohenheimie pana Pabst.) 3) Użycie pasternaku na paszę dla bydła. 4) O niestrawności jako chorobie bydła. 5) O nasoleniu masła. 6) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Dziennik miod paryżskich pod redakcją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 23ci i zawiera, prócz miod, następujące artykuły: 1) Salon literacki. (Dokończenie.) 2) Skandal. 3) List J. I. Kraszewskiego. 4) Przed czterdziestą jeden laty. Przez S. P. 5) Uwiadomienie.

Słowo królewskie o sztukach pięknych. Przy zaszłém dniu 12go października założeniu węgielnego kamienia do «nowej pinakoteki» w Mnichowie, wyrzekł bawarski król Ludwik następujące pamiętne słowa: «Umieństwa nie należy za rzecz zbytową uważać; powinno się ono w każdym razie potrzebą i mile widzianą rzeczą okazać, powinno zbawiennie w życie przechodzić, i wtedy tylko dopełnić swojego powołania. Wielcy artyści moi, są mi chlubą i rozkoszą. Dzieła dyplomatów będą już dawno zapomniane, kiedy utwory znakomitych umników, długo, długo jeszcze umysł pieścić i unosić będą.»

Magnetyzm, jako środek lekarski, był, oile się zdaje, już przed dwoma tysiącami laty znanym. W arsenale brukselskim znajduje się dobrze zachowana mumija, leżąca w trumnie z drzewa pomalowanego. Przypatrzywszy się bliżej na teźże trumnie wyobrażonym figurkom, można się przekonać, iż one magnetyzera i chorą kobietę przedstawiają. Siedząca chora osoba ma tęsamą postawę, jaką dzisiejsi magnetyzerowie swoim pacjentom przybierać każą. Stojący przed nią mężczyzna magnetyzuje chorą, i nie różni się niczem w minie i postawie od naszych tegoczesnych magnetyzerów.

Majątek infantki hiszpańskiej Ludwika, posłubionej obecnie księżu Montpensier, był tak często przedmiotem rozpraw dziennikarskich, iż czytelnicy nasi zapewne z przyjemnością odczytają, co francuzkie pismo *«Reforme»* podług autentycznych dokumentów w tej mierze ogłasza. Pierwszym z tych dokumentów jest testament Ferdynanda VIIgo, datowany z Aranjuez, d. 10go czerwca 1830; drugim — inwentarz, ułożony d. 10go grudnia 1840, z polecenia prowizorycznej rejencji przez marszałka Palafox, po wyjeździe królowej Maryi Krystyny z Hiszpanii. W pierwszym dokumencie jest mowa o posiadłościach ziemskich, spółnych obudwom siostram, a wcale nie zbyt znacznych. Majątek ruchomy, który owych posagowych 25 miljonów realów ma składać, redukuje się podług drugiego dokumentu na 3.147,820 realów, (1 real, około 3 groszy sr.) a to następującym sposobem: a) w klejnotach było 2.332,309 realów; b) w srebrach 539.125 realów, c) w złocie 276.387. — Następnie wykazuje ten dokument, iż: 1) królowa Izabela w chwili wyjazdu matki miała tylko 11 koszul ze zwyczajnego płótna; 2) iż jęj na wszelkiej toalecie zbywała; 3) iż ze sreber nie było w zamku królewskim nic więcej, nad 3 srebrne kafamarze; 4) iż królowa blaszanego, zlekką posrebrzanego serwisu używać musiała, aż pan Heros u nadwornego jubilera Martineza, srebrny sporządzić każąc; 5) iż prawie wszystkie szafy w składzie klejnotów próżne były; 6) iż ani jednego reala gotowiną w zamku królewskim nie znalezione.

Tanie przyozdobienie pokoju. W pokoiku literata stało na kominku kilka ładnych doniczek, na

których cały las małych roślinek się krzewił. Roślinki te wyrastały białe, cieniutko, jakby z drobnuchnych hijacyntowych nasion z ziemi, i spinały się coraz zieloniej i zieleniej w wysmukłe listki. Byłato — pszenica, i nic więcej. Jakże mało potrzeba, aby w smutnych zimowych miesiącach mieć zawsze świeżą zielenią przed sobą! Skoro nasiono w zdźbto wystrzeli, można zasiew odnowić. Odrobina pszenicy na kominku, zielony, kilką kropkami wody odświeżony mech za oknem, dalej, na stoliku i na szafie słoiki z pachnącemi cebulkami hijacyntowemi, po których skromnej powierzchowności nie poznałbyś, iż w nich kryje się zaród owych ładnych, wonnych kwiatków — oto takie drobnostki, nic prawie nie kosztujące, a wszędzie do nabycia łatwe, rozweselają cichy, ustronny pokoiak, a pokoiak znowu umysł pracującego w nim pisarza, a wesoły utwor pisarza duszę czytającego; i kto wie, czy te wszystkie niepozorne okoliczności nie rozjaśnią swoim wpływem kiedyś po latach, ponuręj chwili niechęci, która bez rychłego wypogodzenia byłaby może jakich dwóch dobrych ludzi zwaśniła.

»Dwór gościnny« Seweryna hr. Uruskiego w Warszawie. Jo. książe namiestnik królestwa, w skutku przedstawienia komisji rząd. spraw wewnętrznych i duchownych, udzielił raczył, jw. Sewerynowi na *Uruzu* hrabiemu *Uruskiemu*, dziedzicowi znakomitych dóbr w Rosyi, Galicyi, i pałacu w Warszawie, a zarazem posiadaczowi posesyi niegdys książąt *de Nassau Siegen* przy ulicy Aleksandryi położoną, pozwolenie na wzniesienie na gruncie teźże posesyi *denassauskiej*, dworu gościnnego z przyległemi budowlami, w celu pomieszczenia w nich procederentów sprzedających pierwsze potrzeby życia. W skutek tego pozwolenia, już w końcu lata ubiegłego rozpoczęto prace mularskie. Dnia 12. z. m. o godzinie 6. wieczorem, na gruncie zwanym *Denassauskim*, w obec jw. dziedzica, jego małżonki Ernanyi z hrabiów *Tyzenhauzów*, dostojnych członków obu rodzin, zaproszonych gości, niemniej architektów, odbyło się poświęcenie i położenie kamienia węgielnego. Z tej czynności spisany protokół, podpisał obecnych stwierdzony, w przytomności wszystkich zaproszonych, oraz robotników do pracy użytych (w części Warszawian, w części z dóbr jwv. dziedziców, *Bilki* w cyrkule lwowskim i *Zotudka* w powiecie Lidzkim sprowadzonych), w puszkę szklaną, z domieszczeniem monet i numeru *Kuryjera warszawskiego* zamknięty, na węglu korpusu i galerii skrzydła lewego budynku wmurowanym został. Na pamiątkę tego aktu, celebrujący kapłan poświęcił medalik, z wizerunkiem n. Maryi częstochowskiej i ś. Józefa obłubieńca, które między obecnych rozdał. Poczem wszyscy zaproszeni, udali się na podwieczorek, zastawiony w jednej z sal ruin pałacu *denassauskiego*, przyozdobionej arcy-gustownie w kosztowne kobierce i bogate obicia. Wizerunek **BOGA-RODZICY** i **DZIECIĄTKA JEZUS** zdoł ten salon; umieszczono w nim oraz portrety niektórych z antenatów jwv. gospodarstwa, a mianowicie: Stanisława Rewery *Potockiego* hetmana w. koronnego, Franciszka Xaw. *Uruskiego* starosty gajowskiego, Seweryna *Potockiego* rzeczywistego radcy tajnego senatora, i Antoniego *Tyzenhauza* poskarbiego nadwornego w ks. litewskiego. (Kur. war.)

Sztrasburg złotem brnkowany. Aż dotąd nie znano kamieni, zawierających błonki złota, które nad wyższym Renem, w okolicach w. księstwa Ba-deńskiego i przyległych departamentach francuzkich

plukaniem piasku reńskiego zbierają. Otoż niejaki pan Daubrée doniósł niedawno akademii umiejętności w Paryżu, iż te złote błonki z łupkowego kwarcu alpijskiego pochodzą. Ułókkł on 60 kilogramów tego kamienia, i za pomocą plukania otrzymał za przyrządzonego tak proszku wiele błonek złota, podobnych zupełnie do tych, jakie w łóżysku reńskim się znajdują. Użyty do tego kwarc, był zupełnie tegoż samego rodzaju, jakim w Sztrasburgu, w Bazylei i innych sąsiednich miastach, zwykle ulice brukują, przeto mieszkańce tych miast w właściwym znaczeniu tego słowa po złocie chodzą. Jednakże złota treść tego bruku, jest w istocie swojej, bardzo mała.

O tłumaczeniach teatralnych i deklamacyi na scenie, mówi Laube, literat niemiecki w swoim opisie teatru w Sztokholmie, co następuje: »Jakże nieszczęsnym wpływ wywarły nasze tłumaczenia, a zwłaszcza najwerniejsze, na deklamację sceniczną! Najwerniejsze mówię, to jest: najwerniejsze przekłada, ale bez względu na mowę, na którą się przekłada. Mianowicie tłumaczenia Szekspira przywiodły swoją nadętością aktorów naszych do rozpacz, i ponoszą zapewne większą część winy, iż na scenie naszej tyle myśli bezmyślnie, bez zrozumienia, bez wyrazu, a zatem i bez wrażenia się wymawia. Jakoż zbyt trudno aktorom jest w istocie, wygłaszać zrozumiale te dziwacznie pozgartywane słowa, trudno wyrażać pięknie tę potworną mieszaninę, i dla tego musieli oni na samym brzęku niektórych słów przestawać, i pomijając znaczenie onych, wyrobili sobie tę niejasną, trywialną deklamację, która nas podziśdzić dręczy. Tego wszystkiego, dzięki Bogu, w Sztokholmie nie masz. Również i co do wycuczenia się sztuk panuje tam daleko większa sumienność. Każda, chociażby najpowszedniejsza sztuczka miéwa tam koniecznie 5 prób, poczem dopiero jeneralna próba w kostiumach następuje. Gdzież coś podobnego u nas się dzieje? Chwalimy się wprowadzić zamiłowaniem sztuki, lecz żaden naród tak powierzchownie jak my o sztukę nie dba. Dla tego też nie marnieje nigdzie tyle nowych sztuk co u nas. Przedstawione niedokładnie w obec najniecierpliwszej w Europie publiczności, muszą one oczywiście chromieć i upadają»...

Pociąg do ojczystej ziemi. »*Constitutionnel*» z dnia 6. października zawiera następną ciekawą wiadomość: Jeden z synów Szamila, bohatera plemion kaukaskich, został przed kilką laty, mając dopiero lat 8, przez Rosyjan w niewolę wziętym. Cesarz Mikołaj kazał go oddać do petersburskiej szkoły kadetów, gdzie między Czerkies przy szczególniej troskliwej nauce, i wkrótce nadzwyczajne postępy uczynił. Nie mówił on nigdy o swoim ojcu, i zdało się, jakby wszelkie wspomnienia rodzinnego kraju w nim zgasły. Jego spółucznie, a nawet sami nauczyciele nie znali jego pochodzenia, gdyż umieszczono go w szkole pod przybranym nazwiskiem. Tego roku w lipcu, opuścił on szkołę kadetów, będąc jako porucznik do jednego z pułków infantyckich odesłanym. Otoż przed miesiącem znikł on nagle, i zostawił pismo do swego pułkownika, w którym mu swoje pochodzenie oznajmia i oświadcza: że lubo młody, przecież nie zapomniał swojej ojczyzny, i wraca tamże, aby się z ojcem i braćmi połączyć. Wiadomość o jego zniknięciu sprawiła wielkie wrażenie. Młody Szamil, mający teraz lat 18, był od swoich spółuczniów bardzo lubiany, i nie mogąc się oni teraz wydziwić, z jaką cierpliwością i odwagą on przez tak długi czas los

swój znosił. Słychać, iż dostał się szczęśliwie do Szwecyi. Uwieszono pewną majątną rodzinę włoską w Infantach, ponieważ ją o dopomożenie młodemu Szamiliowi do ucieczki posiadają.

Dromedary w armii francuskiej. Na wniosek kilku wyższych oficerów ma każdy pułk piechoty w Afryce otrzymać pewną liczbę dromedarów, na których zakupienie już nawet dość znaczną sumę zezwolono. Wielbłądy czynią armii algierskiej, jako zwierzęta juczne, bardzo znamienite usługi, lecz mają one zbyt ociężały, powolny chód, i nie są przydatne do transportowania żołnierzy. Muły, używane do przenoszenia rannych i chorych, omdną z trudnością po piaszczystych równinach. Dromedary zaś biegają zważo i lekko, i dają się chętnie dosiadać; zjadają bywają one także w Egipcie i w Tartarii pod siodło używane. Przedsięwzięte w Algeryi doświadczenia z dromedarami, mocno wszystkich zadowolniły. Już nawet kuryjerów z depeszami na dromedarach wyprawiano. Na każdy wypadek będą one nie tyle do dzwigania juków, ile do spiesniejszego transportu ludzi służyły.

Sprzecznosci w życiu. Przy panującej teraz okropnej nędzy w Irlandyi, odbija dziwnie poniższa wiadomość z Anglii, umieszczona w pewnym prowincjonalnym dzienniku angielskim, a przedstawiająca za prawdę obraz wesołego życia homerycznych Feaków. Mieszkańce miasta Derby-Dale uczcili uroczystość zaprowadzenia systemu wolnego handlu nie oświetleniem lub wystawieniem posągu, lecz upieczaniem i zjedzeniem obłrzymego pasztetu, który przy zbiegowisku tysięcy ludzi wieziony był przez miasto na ogromnym wozie, w towarzystwie trzech z kolei przygrywających band muzycznych. Po odbytem pochodzie pokrajano pasztet w kawałki, i obdzielano nim każdego, kto się zgłosił, a mianowicie wyrobników, dla których właściwie był przeznaczonym. Pasztet ten miał 18 stóp objętości, siedm stóp dziesięć cali w średnicy, a dziesięć cali grubości. Spotrzebowano nań dwa korce mąki, 100 funtów sadła, 20 funtów masła, 26 funtów słoniny, 4 barany, 1 jaagnię, pół cielęcica, 2 gęsi, 4 kaczki, 10 królików, 5 zajęcy, 15 kuropatew, 1 bażanta, 12 gołębi, 5 kur, i mnóstwo innego drobiu.

No w rodzaj rybaków. Właściciel pewnego składu sukien w Paryżu postrzegł jednego wieczora przy zdejmowaniu wywieszonych paletotów, surdutów, pantalonów i. p., iż liczba ich od rana się umniejszyła. Tożsamo uważał on przez dwa i trzy dni następujące, nie mogąc mimo najusilniejszej bacności odkryć sprawcy tej tajemniczej kradzieży, lubo znówz kamizelka i pantalonny, a na zajutrz nawet paszczę i frak nowiuteńki zniknęły. Aż tu razu jednego pada nagle kamizelka do stóp kupcowi, który spojrzawszy ponad siebie, widzi, jak para pantalonów, sama bez najmniejszej widocznej pomocy, w górę unosić się zaczyna, i przez okno do pokoju wyższego piętra włazi. Kupiec pospieszył czempredziej za swoim towarem, i ku wielkiemu zdziwieniu urząz w otwartem oknie młodego człowieka, który wiszące jeszcze w powietrzu spodnie na wędce trzymał. Przedsięwzięte natychmiast śledztwo wykryło wszystkie ukryte w ten sposób suknie, a ponieważ strata zupełnie się odzyskała, przeto dał się właściciel zmiękczyć gorącemi prosby dowcipnego franta, i za jedyny warunek swego przebaczenia położył, aby się pan sąsiad niezwłocznie z kamienicy wyprowadził, i tym nowym rodzajem rybołówstwa więcej nie bawił.